№ 36.

Warszawa dnia 7 Wrzesień / 26 Sierpień R. 1867

TYGODNIK MÓD I

NOWOSCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO

W Warszawie *kwartalnie* rs. 1 k. 50, na prowincji i w Cesarstwie *półrocznie* rs. 3 k. 75, Koperta *półrocznie* rs. 1
Prenumerować można na wszystkich stacjach pocztowych.

KAGOCI W PYRENEACH.

(Dalszy ciąg).

Kiedy rozpoczęła się emigracja do Ameryki, Kagoci cisnęli się tłumnie do portów Bretanji, pragnąc szukać schronienia w téj dziewiczéj ziemi, gdzie nie dosięgnie ciążąca nad nimi klątwa i prześladowanie: otóż i w tem upatrzono dowód że pochodzą od Abrahama i dla tego podzielają koczujące upodobanie jego ludu. Czterdziesto-letnie tułactwo na puszczy a nawet owa legenda o Żydzie wiecznym tułaczu, wszystko to usprawiedliwiało twierdzenie, że Kagoci są szczepem żydowskim, i dla tego to są zawsze niezadowolnieni, niespokojni i nieustannie pragnący zmieniać miejsce pobytu. Zresztą, powiadano któż nie wie, Żydzi posiadali sztukę czarnoksięzką? Kagoci i w tem ich naśladowali, przedawali marynarzom bretańskim skurzane flaszki pełne wiatru, oraz szatańskie jakieś mixtury, za pomocą których wszystkie dziewczęta przepadały za nimi, nadto umieli jeszcze wyprowadzać wodę z nagich skał, szerzyć wśród lasów dzikie jakieś, nic ludzkiego w sobie nie mające głosy, i sprzedawali jakieś zaczarowane ziele zwane *lubczykiem*.

W wielu miejscach, w XIV wieku, jedne prawa i zakazy stosowano do Kagotów i do Żydów; wszystko to jednak nie dowodzi bynajmniéj jednego ich pochodzenia, kiedy przeciwnie białość ich cery, a szczególniéj ścisłe zachowywanie wszelkich obrządków kościoła katolickiego, silnie powstają przeciw temu twierdzeniu.

W niektórych znowu okolicach nadawano nieszczęsnemu temu plemieniu nazwę *crestia*, i ztąd to, według kilku pisarzy, powstał wyraz *kretinizm* oznaczający zupełną niedołężność umysłu, co bardzo często zdarzało się między Kagotami. Jeśli jednak można wierzyć tradycyjnym podaniom, to choroba umysłowa jakiéj mieli podlegać ci nieszczęśliwi, nie przedstawiała bynajmniéj żadnych cech kretynizmu, ale przeciwnie objawiała się przez jakieś gwałtowne szaleństwo, napadające ich na nowiu i pełni księżyca. Dotknięci tym strasznym szałem, mieli rzucać dom i pracę i zapamiętale latać po kraju, ponieważ sam tylko gwałtowny ruch mógł uspokoić bolesną i okropną wściekłość jaka ich wówczas ogarniała.

Czy jest co prawdy w tych podaniach? — trudno dziś sprawdzić!

W Pyreneach nazywano ich Kagotami albo Kahetami, w Bretanji Kakohani, w Asturjach Wakerosami, widzimy więc że różniono się nieco w nazwie, ale zgadzano najzupełniéj w zapamiętałéj nienawiści i prześladowaniu. We Francji i Hiszpanji tak rządowe jak prywatne archiwa, dostarczają niezbitych dowodów stwierdzających wszystko co podaliśmy wyżéj. Dowody te obejmują całe trzy wieki, to jest od początku XIII aż do końca XVIII wieku.

Jak to już powiedzieliśmy wyżéj, najenergiczniejsi i najrozumniejsi z tych pariów, probowali wielokrotnie w różnych epokach, walczyć ze strasznym, niczem nieusprawiedliwionym przesądem, którego byli ofiarą; udawali się do Papieża, udawali się do władz krajowych, ale tak bulle papieży jak i wyroki niektórych światlejszych parlamentów, pozostawały bez skutku i dopiero rewolucja francuzka położyła węgielny kamień ich wyzwolenia. Oto proces jaki miał miejsce w Bearn, jeszcze w 1718 roku.

Pewien bogaty stolarz, nazwiskiem Stefan Arnaud który według dowodów zaprodukowanych sądowi przez stronę przeciwną, był potomkiem przeklętego plemienia zwanego Gotami, Kagotami, Bizygotami, Astragotami albo jeszcze Kahetami, poślubił bogatą

bardzo Kagotkę z Biaritz, skutkiem czego majątek, jego ogromnie się powiększył. Nie widząc powodu aby w kościele miał stać w kącie za drzwiami i być wyłączonym od sprawowania urzędów publicznych, w gminie której jest najzamożniejszym mieszkańcem, zaniósł do władz podanie, żądające przyznania mu praw cywilnych i obywatelskich, oraz zezwolenia aby tak on jak żona jego mogli siadać w ławkach kościelnych. Władza rządowa odrzuciła podanie, Stefan Arnaud energicznie bronił praw swoich, i zaskarżył wyrok bajlego z Labouard. Wtedy mieszkańcy Biaritz, zebrali się na posiedzenie dnia 8 maja 1718 r. w liczbie sto-pięćdziesiąt osób, zatwierdzili postąpienie swego urzędnika i uchwalili składkę na pokrycie kosztów sądowych, dając zarazem najrozleglejsze upoważnienie swoim pełnomocnikom, aby wszelkiemi sposobami bronili sprawy *ludzi czystéj rassy* przeciw przybłędzie, Stefanowi Arnaud, który już choćby tylko przez swe małżeństwo z Kagotką, powinien równie jak ona, być pozbawionym wszelkich praw i wydalonym z Świątyni Pańskiéj. Proces ten przechodził przez wszystkie sądy prowincjonalne, i zakończył się dopiero wyrokiem parlamentu Paryża, potępiającym zabobony i przesądy baskijskie, i przysądzającym Stefanowi Arnaud i jego żonie wszelkie prawa cywilne, a tem samem i siadania w ławkach kościelnych.

Wyrok ten oburzył do najwyższego stopnia mieszkańców Biaritz i spotęgował jeszcze ich zapamiętałą nienawiść, kiedy więc w r. 1722, pewien cieśla, nazwiskiem Michał Legaret, którego posądzano że jakaś cząstka krwi Kagockiéj w jego żyłach płynie, stanął w nawie kościelnéj w pośród tłumu wiernych, dwóch urzędników dozoru parafialnego rzuciło się na niego, i gwałtem wyciągnęli z kościoła. Legaret nożem bronił się przeciw gwałtowi, i dla tego został stawiony przed sądem miejscowym, jednak gdy się rzecz wyjaśniła obaj napastnicy uznani zostali winnymi, i skazani na publiczną pokutę, aby wychodząc z kościoła po skończeniu summy, na klęczkach przeprosili niewinnie napastowanego. Odtąd Legaret mógł już swobodnie modlić się w kościele.

Widząc, że tak władze sądowe jak administracyjne, zaczynają opiekować się przeklętem plemieniem, i nie dozwalają gnębić go i prześladować bezkarnie, nie śmiano opierać się jawnie, i *niby to*, *za życia* Kagoci używali praw służących innym mieszkańcom kraju. Mówimy: *niby to* bo w rzeczywistości napotykali wszędzie opór bierny, którego bronią była najzaciętsza nienawiść i wzgarda, na każdym dotykająca ich kroku, mówimy, *za życia*, bo przymusowa ta tolerancja kończyła się po za grobem, gdyż ludzie czystéj rassy bronili zawzięcie swego przywileju, aby ciała ich były grzebane oddzielnie, a prochy nie były narażone na zbeszczeszczenie przez pomieszanie z prochami przeklętego plemienia. Kagoci z swéj strony, ośmieleni pozyskanemi już prawami, uporczywie domagali się miejsca spoczynku na wspólnym cmentarzu: to dało znowu powód do odmiennego tłomaczenia tekstu Starego Testamentu. *Czyści* zwycięzkim głosem przywodzili ustęp gdzie jest powiedziane: że Ozyasz trędowaty, pochowany był w polu gdzie były groby królewskie, ale nie w grobach królewskich (Paralipomen, ks. 11, roz. XXVI), na co znowu Kagoci odpowiadali, że słowa te bynajmniéj do nich zastosować się nie dadzą, ponieważ byli zupełnie zdrowi i ciała ich nie przedstawiały żadnych oznak trądu. Dowodzeniu temu przeciwstawiono argument, przytaczany wyżéj, a który obalić bardzo trudno: to jest, że trąd, jest dwojaki, widoczny i niewidoczny, i że Kagoci właśnie tym ostatnim byli dotknięci. Cóż odpowiedzieć na to?

Pewna zamożna rodzina Kagotów, nazwiskiem Belone, przez lat czterdzieści procesowała się zaciętcie o prawo chowania ciał zmarłych swoich, na wspólnym cmentarzu. Władze uwzględniły ich żądanie, ale oburzeni mieszkańcy umieli udaremniać wyroki. Dla pewności wykonywania postanowień rządowych, władze nałożyły sto franków kary na proboszcza, któryby nie pochował Kagota w miejscu oznaczonem przez niego lub wybranem przez pozostałą rodzinę. Otóż zdarzało się nieraz, jak np. w Biaritz, że proboszcz podzielał dziką nienawiść swych parafian: wtedy nie zważając na postanowienia grzebał Kagotów po za obrębem cmentarza, a wdzięczni parafianie składali się i opłacali nałożone nań kary.

W wielu miejscach jeszcze w początku XIX wieku istniał w całéj swéj pierwotnéj sile ów pogański obyczaj, zmuszający Kagotów aby wchodzili do kościoła przez maleńkie boczne drzwiczki, a nie ważyli się przestępować wielkich drzwi kościelnych, nic nie pomagały nauki i przekładanie kapłanów, złość i ciemnota obstawały przy swojem. W niektórych miejscowościach, biskupi dyecezjonalni, chcąc wykorzenić niecny ten przesąd, z umysłu nie jednokrotnie sami w raz z całem duchowieństwem schylając się, drzwiczkami temi wchodzili do Świątyń Pańskich. Dowiedziawszy się o tem, jeden z tych biednych pariów mieszkający w Laroque, ośmielony przykładem czcigodnych arcypasterzy, postanowił wypłatać figla mieszkańcom. Podczas summy, gdy tłumnie zgromadzeni parafianie, słuchali z zajęciem ulubionego kaznodziei, on cichutko zamknął wielkie drzwi wchodowe, schował klucz do kieszeni i napakował piasku w dziurkę, aby nie można było otworzyć drugim kluczem jeśliby go przypadkiem posiadano. Po skończonem nabożeństwie tłum cały rzucił się ku drzwiom, i zdumiony zastał je zamknięte; drugiego klucza nie było nawet, ani podobna otworzyć drzwi doskonale się zamykających. Co tu robić? nie podobna Bóg wie jak długo pozostać w kościele. Ze jednak wiele ten czyni co musi, po namyśle tłum cały zwrócił się ku maleńkim bocznym drzwiczkom przeznaczonym wyłącznie dla Kagotów, i biedak nasz miał tę uciechę, że spokojnie przyglądał się jak ludzie czystéj rassy pochyleni i ze spuszczoną głową defilowali z kolei przez drzwi przeklęte.

J. E. H. de Romagne, biskup dyecezjonalny w Tarbes, zmarły w 1768 roku, pierwszy z dostojników kościoła francuzkiego, dozwolił Kagotowi przyjąć święcenia kapłańskie.

Wszystkie powyżéj przytoczone szczegóły czerpiemy z dzieła głośnéj dziś autorki angielskiéj lady Gaskell, sądzimy że może nie będą bez zajęcia dla czytelników, tym więcéj, że o ile wiemy przynajmniéj, nic w tym przedmiocie nie mamy w języku polskim.

Belejowska.

KOCHANKOWIE Z TERUELU.

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH

PRZEZ

Juana Eugeniusza Hartzenbuscha.

PRZEŁOŻYŁ Z HISZPAŃSKIEGO

K. E.

(Dalszy ciąg).

MARGARITA. Za winy dźwigam włosienicę i szatę pokutną. Lękałam się roziskrzyć płomień twéj miłości. Sądziłam, że sama surowość, to środek najlepszy. Lecz każdéj nocy, ilekroć słyszałam cię złorzeczącą surowości rodzica, gorące łzy przelewałam, błagając Stwórcę o spokój dla dziecka.

IZABELLA. Boże! jakżeż byłam niesprawiedliwą. Tyś mnie kochała?.... Matko miła! przebacz. Uczuwam rozkosz, chociaż jeszcze łzy przelewam. Już od sześciu lat, więcéj jak od sześciu, nie doznałam takiego szczęścia. Widzisz ile cierpię, skoro oblicząm szczęście, tamujące na chwilę potok moich udręczeń. Lecz, czy zdołasz matko zatrzymać dla mnie w biegu ten ostatni promyk życia?... Matko, matko ubóstwiana, dotykam ustami stóp twoich — ostatnie tchnienie wyzionę tutaj, jeżeli nie dasz folgi łzom moim (klęka).

MARGARITA. Powstań Izabello! otrzyj łzy— wierzaj mi, uczynię, cokolwiek tylko będzie w méj mocy.

IZABELLA. Czas zbiega. A jeżeli ubiegną ostatnie trzy dni... trzy!., och! wówczas niepodobna nie upaść. Wszystko upadnie. Ojciec. nie zdolen ogarnąć tych cierpień, wierny danemu słowu, złoży nieszczęście moje na ołtarz. Może twoje słowa powstrzymają zapęd jego honoru. Wszelkie prośby z méj strony okażą się daremnemi — więcéj nawet, zbrodnią. Może tobie, matko, uwierzy. Niech się nie wprzęga w jarzmo danego słowa. Więcéj znaczy być ojcem niż z ojca stawać się katem. Widzę, przeczuwam — on ojciec, gotów zawlec mnie przed ołtarz, — lecz niechaj zamiast przygotowań do uroczystości weselnéj, ograniczy się na przysposobieniu dla mnie krzyża i całunu. Strój ten i taka ozdoba, będą koniecznemi.

MARGARITA. Poświęcę się cała za ciebie. Ale, czy zwyciężym?.. Nie znasz zwyczajów wieku, w którym się zrodziłaś. Powinnabyś żyć w innym, a przynajmniéj w ukształceńszym wieku. W tych czasach żelaznych, co to za pierwszym ujrzeniem światła wita rycerzów wojna, wdzięki dziewicze uważane są jako ptak o piórach powabnych, przeznaczony dla rozrywki, a przyjaźń, krew i miłość idą na ofiarę krwawemu bożyszczowi, nazwanemu: honorem! W myśl wyroków alkoranu, hańbą byłoby poprawiać się w błędzie. Musiałabym dopiero zedrzeć tę skorupę z serca twojego ojca, i przywrócić mu pierwotne uczucie rodzica, które niestety od lat dwudziestu zbiegło za wojenną wrzawą.

IZABELLA. A wpływ, a urok twoich przymiotów serca, nic tu nie pomogą?.. Iluż cudów niedokazały twoje zabiegi? Ach, gdybyś go tylko błagać zechciała — może pomyśli, że Bóg przemawia przez usta twoje. Wysłucha cię — przemów tylko.. sprobój przełamać jego wolę. Pomnij że stawasz w obronie zbawienia méj duszy — inaczéj, klątwa i zbrodnia legną na méj głowie. Zostanę żoną Rodryga— ale, czy nie skonam?.. Opatrzności! nie stawiaj mię wówczas przed obliczem tego którego wiesz jak kocham!... i nie pociągaj mnie przed sąd Sprawiedliwego, jeżeli w końcu, w rozpaczy piekielnéj, przeszyję sztyletem pierś Rodryga—

MARGARITA. Dość, dość, Izabelio. Przestań! Użyję méj władzy. Rodryg nie zostanie twoim mężem! zniweczę przyrzeczenie ojca, wysłucha mnie i zapobieży strasznym następstwom. Sprobuję być matką.... ach! bo dotąd być nią nie mogłam!

Scena 7.

Ciż, Marja Gomez.

MARJA. Pani! don Rodryg, don Rodryg!

MARGARITA. Don Rodryg?

IZABELLA. Nachodzi nas w takiéj chwili—

MARJA. Prawda, nieubrane, nieuczesane tembardziéj gdy się już na śmierć zapracowałam. Pobiegnę po służącego.

MARGARITA (do Izabelli). Oddal się — przebierz się. Usiłuj zebrać wszystkie myśli.

IZABELLA. Nie zapominaj o mnie, matko (wychodzi).

MARGARITA (do Marji). Poproś go.

MARJA. Natychmiast (chce odejść — wraca). Myślę przygotować dla Izabelli suknią, którą ja bardzo lubię. Dziewczęta skromne przyobleką się w szaty świąteczne i zapalą światła, gdy małżonek nadejdzie, mówi Mateusz św. w rozdziale 25.

MARGARITA. Ależ idźcie! Marjo.

MARJA. Tak mówi Pan w przypowieści o oblubienicach (wychodzi).

Scena 8.

Margarita. — Rodryg.

(Marja wraca z nim, podaje mu krzesło i wychodzi).

MARGARITA. Panie Rodrygu.

RODRYG. Pani — widzimy się nakoniec.

MARGARITA. Bądź łaskaw usiąść. Wypocznij w tym domu. Pośpiech, z jakim zdążałeś, aby nas odwiedzić, nie dozwolił ci odpocząć w twoim.

RODRYG. Korzystajmy z chwil, w których się znajdujem sami. Nim zobaczę Izabellę, chciałbym dowiedzieć się od pani, co sądzisz o stanie jéj serca, i moich nadziejach? Wiele zmienić się mogło pod moją nieobecność.

Margarita. Mało mam do opowiedzenia. Uszanowanie nie dozwala córce wynurzać się przed matką w tym przedmiocie.

Rodryg. Ale matka przezorna uważa i wykrywa.

Margarita. Izabella chorowała przez cały ten rok. Jéj powierzchowność przemówi za pierwszym rzutem spojrzenia. Słabość jéj może jest najgłówniejszem źródłem jéj melancholii—jéj smutku, lecz –

Rodryg. To ma znaczyć, że mogę znaleść zmianę na twarzy, ale nie w sercu.

Margarita. Tłumaczysz pan wyrazy moje...

Rodryg. Według ich istotnego znaczenia. Czego tu przeczyć? Jeżeli pani nie robiłaś postrzeżeń pod nieobecność moją, to ja czyniłem je z méj strony, i według nich przemawiam. Pisywałem listy do Izabelli — i na żaden mi nieodpowiedziała. Posyłałem jéj kosztowności — wiem że ani razu w nie się nie przystroiła. Nigdy nie dosiadła dzielnego rumaka, któregom jéj przysłał ostatnią razą, i ręce jéj nie dotknęły kołczanu, który wraz ze strojem do polowań odemnie pochodzi.

Margarita. Wiesz pan, że polowanie nie sprawia jéj przyjemności —

Rodryg. Dozwoliła rozlecieć się sokołom — rozpuściła sforę psów—materje kościołom porozdawała, kosztownościami obdzieliła ubogich. Nie martwią mnie te czyny — owszem przyklaskuję im. Dowodzą niestety prawdy nazbyt bolesnéj, o któréj jestem przekonany od lat sześciu, Izabella mnie nie kocha.

Margarita. Pozwól tedy udzielić sobie rady przyjacielskiéj. Wiem, że płeć nasza pozbawioną jest głosu poza obrębem przędziwa i szycia, lecz jako kobieta i matka, mam słuszne prawo spodziewać się po rycerzu, że mi wybaczy.

Rodryg. Najsłuszniéj. Nadto, obowiązany jestem szanować panią z jednego tytułu więcéj. Mów pani.

Margarita. Don Pedro ofiarował panu rękę mojéj córki, lecz czyliż delikatność uczuć pańskich, wyższość jego umysłu, i miłość własna, zadawalniałyby się posiadaniem niewiasty, któréj serce, jak sam wyznajesz, nie należy do pana? Jakąż rękojmię szczęścia daje małżeństwo, ugruntowane na tak wątłéj podstawie? Miłość Izabelli wybiegła już poza zwykłe granice —już za późno! aby nastąpiło w niéj przeobrażenie, i ujrzysz dogorywającą niemal, ujrzysz ofiarę smutku tem gwałtowniejszego im bardziéj tłumionego. Pomnij panie, że będziesz złorzeczyć swemu postanowieniu. Zazdrość i zgryzoty zawładnęłyby tobą — niezgoda, zawiść i piekło okrążałyby życie wasze.

Rodryg. Co za złowieszcza wróżba! Szczęściem, że ją łagodzi sam przykład pani. I pani kochałaś pierwéj, zanim zostałaś żoną don Pedra — a wszelako byłaś wzorem kobiet —

Margarita. Te pochwały...

Rodryg. Wiem pani, o ile zasłużyłaś na nie — i spodziewam się po twéj córce, cnót jeszcze świetniejszych. Lecz porzućmy te myśli. Pozwól pani przedłożyć sobie kilka uwag. To pewna, że Izabella nie kocha mnie — lecz kogóż kocha właściwie? Jakąś istotę, czy marę nieujętą.

Margarita. Lecz gdyby Marsylia powrócił na czas?

Rodryg. Myślisz pani, że to skłoniłoby mnie do ustąpienia? O, mylisz się pani. Marsylia przyobiecał wyrzec się swoich roszczeń szalonych, jeżeliby w terminie sześcioletnim nie nagromadził umówionéj ilości bogactw; lecz co do mnie—nie przyobiecywałem żadnych ustępstw. Azagrowie nieumieją cofać się. Jeżeliby Marsylia powrócić miał, to szpada rozstrzygnie nasze prawa.

Margarita. Sądzę, że tu rozstrzygać może tylko wola mojego męża. Nieda on sobie wydrzeć prawa do córki.

Rodryg. A któżby mi wzbronił uwolnić się od przeciwnika? Lecz, to są groźby niewczesne. Gdybym był przeświadczony, że wola Izabelli jest nieodwołalna, że złączona zemną związkiem ołtarza, niezdoła siłą cnót swoich skłonić się do wypełnienia tego co zaprzysięże, wówczas zapewne nie posunąłbym się ani o krok daléj w roszczeniach. Ale postanowienia ulegają przemianom, rozsądek odzyskuje swe rządy, uczucia kamienieją, wygasają.

Margarita. Ach, don Rodrygu, uczucie liczące tyle lat istnienia...

Rodryg. Powinno dla tego właśnie dobiegać coraz bliżéj do kresu.

Margarita. Więc trwasz przy swojem?

Rodryg. Nieodwołalnie. Serce takie jak Izabelli, to cud istotny, to feniks swojego czasu. Jakże go nie uwielbiać, nie pożądać?

Margarita. Lecz, — napotkawszy niezwalczone przeszkody...

Rodryg. Wola niezłomna nie zna przeszkód. Niedopuszczę, aby po sześciu latach wyszydzono moje nadzieje. To postanowienie urosło do stopnia sprawy honorowéj, a z takiéj potrafi Don Rodryg do Azagra wyjść zwycięzko.

Margarita. Będzieżto słusznem poświęcić szczęście córki dla pańskiéj próżności?

Rodryg. Poświęcałem się dotychczas jéj kaprysom — wymagam zrównoważenia poświęceń. Nie żądam niczego, co do mnie nie należy. Izabella niemoże rozrządzać sobą. Rodzice przyrzekli mi jéj rękę. Obietnica przenosi ją na moją własność — Izabella jest moją!

(d. c. n.)

Pogadanka Tygodniowa

Podróż z Warszawy do Berlina trwa godzin dwadzieścia niespełna. Wyjechawszy o godzinie w pół do drugiéj w południe ze stacji Warszawskiéj, w Berlinie staje się na drugi dzień rano o godzinie dziewiątéj. Lecieliśmy też dosyć spiesznie niezapominając o koszyczku z zapasami pokarmowemi, w jakie radzę każdemu zaopatrzyć się przy wyjeździe. Towarzystwo mieliśmy bardzo przyjemne. Od Włocławka Wisła skutkiem wylewu, straszna, groźna i majestatyczna, ciągle widniała nam w oczach, a za granicą nurty jéj dochodziły do samych prawie wagonów. W miejscach też takich, jechaliśmy bardzo wolno ubolewając nad nowem nieszczęściem, dotykającem nadrzecznych gospodarzy. Z Berlina wyruszyliśmy w piątek o godzinie punkt w pół do dziewiątéj rano, pociągiem pospiesznym, wyłącznie przeznaczonym dla jadących na wystawę do Paryża. Kto cugiem takim nieodbywał drogi, niezdoła nawet pojąć wszystkich nieodłącznych od niego przyjemności, które najcierpliwszemu potrafią stanąć w gardle kością i odebrac raz na zawsze ochotę do wszelkich podróży. O bycie złych duchów uczy nas pismo, fantazja przypisując im różne moce, przypuszcza możność porywania ludzi i dlatego to w argumentacji gniewnéj, często objawiane bywa czułe życzenie, w ściśle liczebnéj objawione formie, jaki zastęp szatańskich jegomości ma komuś wyrządzić tę przysługę. Szczodrość pod tym względem nie ma granic; krocie, miljony i bimiljony, sypią się jak grad bez żadnego pomiarkowania, a czasami porwaniu takiemu pragnąc nadać jak największą szybkość, przyzywa się pomocy wszystkich djabłów albo życzy dobrowolnéj do nich podróży.

Nieodbywając jeszcze podobnéj jazdy nie mam o niéj najmniejszego wyobrażenia, domyślam się tylko że musi być szybką i niemarnującą czasu na odpoczynek i wytchnienie, słowem podobną do podróży pospiesznym cugiem, jakim obdarzono ciekawych wystawy powszechnéj całego świata.

Kiedyśmy przybyli do gmachu kolei, rój podróżników napełniał całe jego wnętrze, a na stole szerokim i długim, piętrzyły się paki i tłomoki czekając przyjęcia i wydania kwitów. Jako w miejscu obszernem i wygodnem, pomimo tysiąca blisko osób wybierających się w jedną drogę, ekspedycja odbywała się szybko, bilety stemplowano w oka mgnięniu, w dwadzieścia minut załatwiało się wszelkie formalności i co najważniejsza, nie było żadnych kuksów, szturchań i popychań, jakiemi tak szczodrze przy wyjeździe z domu zostałem obdarzony.

Tymczasem przed gmachem kolei, lokomotywa z długim szeregiem wagonów, szumiała parą parskając jak dzielny rumak rwący się do biegu. Zaopatrzeni w bilety na objad w Brunszwigu, zajęliśmy miejsce w towarzystwie bardzo miłéj Szwedki z dwoma synkami, i żony Prezydenta z Gdańska z matką, osoby już niemłodéj, która zaledwie zdołała córkę namówić na podróż klasą trzecią. W dalszych przedziałach zasiedli widocznie rzemieślnicy z różnych stron Niemiec, ludzie niezmiernie rozmowni, weseli, nawet dowcipni, a zawsze rozsądni i bardzo przyzwoici. Towarzystwo więc było miłe i odpowiadające wszelkim pod tym względem wymaganym warunkom. Po sprawdzeniu biletów, ozwał się dzwonek, głos świstawki nadzorcy, lokomotywa szarpnęła i ruszyliśmy w drogę, wolno, poważnie, przechodząc w coraz szybszy bieg, zużywający na przebycie mili najwyżéj siedem minut czasu. Po półtory godziny takiego biegu, pociąg zatrzymał się, poroztwierano wszystkie drzwi wagonów, i z różnych stron ozwały się głosy konduktorów.

— Magdeburg — pięć minut!

Lakoniczne to oświadczenie, bo na dłuższe nie było czasu, co do joty spełnione zostało i w pięć minut potem lecieliśmy znowu w dalszą drogę, mijając stacje pośrednie, wsie, miasta, pola, lasy, rzeki i góry, prawie migiem błyskawicy, na jedną nawet chwilę nie zwalniając biegu tylko zawsze naprzód i naprzód!

W półtory godziny nowy przystanek. W trzy więc godziny ubiegliśmy mil 24.

— Brunszwig! — wołają konduktorzy — trzydzieści minut!

— Ho! ho! — odzywają się podróżni — trzydzieści minut to szczodrość niesłychana. Daléj na objad!

Wyskakujemy więc z wagonów, tłum kłusem biegnie do bufetu, wiewają suknie, poły od paletotów, każdy nagli i przyspiesza a u wszystkich wyciągnięte szyje, pochylone głowy naprzód, jak u strusi zmykających przed pogonią. Przy drzwiach wchodowych tłum ściska się i zatrzymuje, powstaje tłok i zamieszanie, służba bowiem do salonów z przygotowanym objadem puszcza tylko osoby w bilety zaopatrzone. Gdy więc jedni się cisną, drudzy starają się wycisnąć, potrącamy się zatem, pchamy, podnoszą się łajania na brak odpowiedniego objaśnienia, tłum się miesza rozdziela i tworzy jakby dwie strugi z głów ludzkich złożone, płynące w odmiennym kierunku. Dostajemy się wreszcie do ogromnego salonu, dwa sąsiednie jak kuźnia cyklopów, już buchają szczękiem talerzy, widelcy, noży i gwarem głośnéj rozmowy. Oddycham!. Ale dziesięć minut ubiegło, dziesięć

zatem zaledwie zostaje na posiłek, bo także dziesięć trzeba liczyć na wydobycie się i dostanie do wagonów.

Chwytam więc filiżankę z buljonem i jednocześnie szukam nogą krzesełka, żeby czasu jak najmniéj tracić. Parzę się ale połykam, dmucham, przelewam...... przynoszą jakieś mięso, jarzynę... drę wszystko w kawały, pakuje łyżką, chciałbym się napić.... czekam więc na ustanie pracy zębów, a tu słyszyć się daje dzwon sygnałowy i świst lokomotywy. W salonie robi się rumot, każdy powstaje nie czekając ukończenia objadu, gospodarz stojąc na krzesełku krzyczy jak przez tube:

— Dla podróżnych do Paryża jeszcze piętnaście minut!

Siadamy zatem do pieczeni i leguminy, jedząc wszystko razem jak groch z kapustą. Ukończywszy wreszcie pakunek objadowy, wybiegamy z jadalni a tu już lekomotywa sapie, dzwon brzęczy, konduktorzy zamykają drzwi i daje się słyszeć ostatni bezpardonowy sygnał. Daléj więc galopem, w pośpiechu mijamy swoje wagony, błąkamy się, plączemy, gdzie zajrzemy wszędzie obce twarze...

— Tu — tu — tu — odzywa się wreszcie głos poczciwych naszych towarzyszy, wyglądających oknem i zaniepokojonych naszą nieobecnością.

Biegniemy zatem niewymownie uradowani, a za nami dziesięciu innych zwiedzionych słyszanym głosem i szturmem, pchających się do wagonu. Dopadamy wreszcie miejsc swoich, drzwi z trzaskiem zamykają i w téj chwili zaczyna się miły trajkocik, traj taj taj — traj taj taj! — jak w młynie pytlującym mąkę.

W Kolonji rewizja i przesiadanie się do wagonów belgijskich. Przeznaczono na to dwie godziny czasu, ale to tylko nowy trud, a nie odpoczynek. Ciągle trzeba czuwać, aby się jak najprędzéj załatwić z celnictwem, żeby przypadkiem nie porwał kto manatków podręcznych i żeby późniéj znaleść miejsc w wagonie odpowiednie swemu życzeniu. Belgja ze swemi półmilowemi tunelami, fabrycznemi kominami, górami i przepaściami, tylko się mignęła i wpadliśmy w granicę Francji.

Ponieważ podróżników na stacjach ciągle przybywało, pociąg więc rozdzielono, bo jedna lokomotywa nie mogła radzić, i dwie pierwsze klassy poleciały oddzielnie, a trzecia sama jako najliczniejsza za niemi pośpieszyła. Przystanków co godzina, co sześć kwandransów, mieliśmy jeszcze kilka, najdłuższych jednak na osiem minut, a były i trzy minutowe. Łatwo więc wyobrazić sobie co się działo, na takich stacjach, gdy nagle jak szarańcza wybiegło z wagonów sześćset lub osiemset osób i każdy wyciągał rękę, szukając oczami koniecznie potrzebnego mu przedmiotu.

O godzinie w pół do czwartéj po południu, pokazały się wieżyce i kopuły kościołów, wybiegające z różnych stron w otoczeniu kamienicznych dachów. Był to Paryż, ów cel naszéj podróży, do którego wreszcie po trzydziestu przeszło godzinach ciągłego pędu przybyliśmy. W gmachu zastaliśmy ukochanych czekających na nas. Powitaliśmy się łzami i w kilka minut sunęliśmy powozem ulicami Paryża do przygotowanego nam bardzo wygodnego pokoiku.

O UBIORACH

Moda w ogóle dąży do coraz większéj praktyczności; mimo niektórych śmiesznych wyskoków, ubiór dzisiejszy wygodny jest i prosty. Cóż wygodniejszego naprzykład do wyjścia na ulicę lub na przechadzkę, jak suknia okrągła o tyle tylko sięgająca ziemi, żeby się nie szargała. W razie deszczu i tę jeszcze podnieść można na dwie amerykańskie haftki, ukryte u dołu po bokach. Mała objętość sukien dzisiejszych sprawia że dwie haftki dostatecznie je podnoszą.

Suknie do strojnego ubrania zawsze bywają długie powłóczyste. Uważaliśmy w magazynie panien Kuhnke jedwabną koloru Bismark, którą tu szczegółowo opiszemy. U dołu blisko na ćwierć łokcia nad brzegiem szła wązka ruszka drobno fałdowana, wystrzyżona po obu stronach w ząbki. Od téj ruszki szły falbaneczki wązkie na dwa cale, trzy z nich szły do góry, trzy na dół; wszystkie razem dane bez żadnego odstępu, tworzyły jeden garnirunek. Stanik gładki pod szyję spinał się na jedwabne guziki. Na nim oznaczony był kwadratowy karczek ruszką z pod

której rozchodziła się falbaneczka na obie strony. Rękawy wązkie przybrane były odpowiednio do tego, u ręki i przez środek aż do ramienia. Szarfa związana w tyle, zakończona trzema falbaneczkami, ślicznie dopełniała całości.

Panny Kuhnke wspominały, że ten rodzaj garnirunku zastosują do ślubnych białych muszlinowych sukien z tą różnicą że falbaneczki zamiast wycięcia w ząbki, będą po prostu obrąbione.

Garnirunek stanika oznaczający karczek, czy to frendzlą czy pasmanterją w ząbki lub falbanką bardzo w tym roku używany. Ten rodzaj ubrania skróca wprawdzie stan, ale też moda zarzuciła zupełnie długie stany. Druga właściwość mody dzisiejszéj, którą tu zapisać należy jest ta, że nie wymaga bynajmniéj ściskania się w pasie: figura aby była prawdziwie piękną, powinna przedewszystkiem odznaczać się swobodą w ruchach. Zwrot ten cechuje prawdziwy postęp mody.

Zapowiadają na jesienne ubranie kostiumy z lekkiego sukienka w kolorach fijołkowym, szafirowym, brązowym lub czarnym. Oprócz zwyczajnego sukna używany będzie inny gładki mięsisty wyrób w ukośne prążki (diagonal) trzymający środek pomiędzy suknem a merynosem. Widzieliśmy taki kostium ciemno szafirowy, wycięty u dołu w dwa festony podniesione po bokach. Na zszyciu brytów, równie jak u dołu spódniczki naszyta była wązka plecioneczka czarna przerabiana złotą nitką, paletocik z tyłu krótki, z przodu przedłużony jak szalik i ścięty kwadratowo, zakończony był również plecionką. Rękawy były podwójne, jedne obcisłe do ręki, drugie szerokie roztwarte, ścięte prosto podbite marseliną. Paletocik spinał się na złote guziki. Spódniczka na spód, naszyta była plecionką nad obrębem.

Letnie suknie na wieczór lub na teatr, robią z tkaniny algierskiéj, *szally*, złożonéj z wełny i jedwabiu. Tkanina ta bywa zawsze w pasy atłasowa tegoż samego koloru, lub też mięszana z białem. Widzieliśmy taką suknię niebieską powłóczystą, u dołu miała trzy pliski z pod których wychodziła wąska gipiura biała. Boki spódnicy od przodu podpięte były dwoma rozetami ze wstążki niebieskiéj. Na staniczek wycięty szła gipiurowa chusteczka *Marie Antoinette* założona na krzyż na piersiach, z tyłu zakończona długo spadającemi końcami.

Takie chusteczki powszechnie dziś przyjęte, robią je nawet z tego samego co suknie materjału; młode panienki kładą je na ulicę w miejscu okrywki.

Mówiąc o okrywkach powiemy tu, że rotondy chustki i beduiny koronkowe, bardzo w tym roku używane. Na chłodniejsze dnie przygotowano krótkie beduiny białe flanelkowe, w centki koloru pąsowego, fijołkowego i. t. p. Od kapturka spadają dwa długie sznury z kwastami angorowemi.

Do wyjścia na ulicę w dnie chłodne, równie jak do podróży, noszą bardzo spódniczki do ziemi z merynosu szkockiego, albo z wełnianéj popeliny w kratę zieloną z szafirowem; miejsce stanika zastępuje także koszulka. Na wierzch kładzie się rotonda z tego samego materjału, obszyta frendzlą w odpowiednich kolorach.

Do takiego kostiumu widzieliśmy podobne pończochy szkockie, w kratę szafirową z zielonem.

Kapelusze najmodniejsze okrągłe czy też wiązane pod brodą, bywają koloru brązowego, przybrane krepą albo girlandką liści brązowych ze świecącemi jagodami.

O biżuterjach powiemy tylko, że medaljoniki złote gładkie lub emaljowane stały się panującą modą. Zawieszają je według upodobania na łańcuszku złotym, lub też na czarnéj aksamitce związanéj z tyłu, z długo spadającemi końcami. Medaljoniki te noszą nawet do codziennego ubrania. Brosze i kolczyki lawowe jakoteż naszyjniki powszechnie się podobają.

Nowości zagraniczne.

Magasin de Demoiselles. Suknie z alpagi białéj na materji lub fularze w kolorach jaskrawych, mają nadzwyczajne powodzenie tego lata. Dla oszczędności używano nawet na podłożenie lekkiego *mousseline de laine* w kolorze niebieskim lub różowym, i wcale to nie źle wyglądało, choć mniéj lekko jak materja. W ogóle moda podkładania stosowana dawniéj wyłącznie do sukien białych muślinowych, dziś tąk się upowszechniła, że widzieć można noszone w ten sposób spódniczki wełniane *fil de chèvre*, z gazy Chambéry lub grenadinowe. Dopełnieniem ubrania bywa odpowiedni paletocik lub pelerynka à la Marie Antoinette, cokolwiek większa jak używane dawniéj, z długiemi i szerokiemi końcami, które przekładając się na krzyż, i wiążą z tyłu. Kto wie czy podobne pelerynki nie zastąpią na przyszłe lato krótkich paletocików, tym więcéj że przedłużone przody u niektórych fasonów zbliżają je coraz więcéj do mantylek.

Taka panuje rozmaitość w fasonach i przyborach, że trudno wyrzec stanowczo: ta rzecz lub ten kolor przeważa nad innemi. Wprawdzie wiele elegantek chwyciły się zawzięcie nowego koloru *Bismark* (brązowy wpadający w żółty) lecz wątpić należy o trwałości téj mody, choć dziś najmodniejsze suknie, kapelusze, parasolki a nawet rękawiczki, są w kolorze *Bismark*. Dłuższe powodzenie wróżyć można pięknemu kolorowi brązowemu jako też w odcieniu jasno popielatym (gris perle), który ogólnie przyjęły panie odznaczające się wykwintnym gustem.

Cała toaleta bywa w kolorze popielatym nie wyłączając kapelusza, słomkowe nawet przybierają girlandką i blondynką popielatą, gdyż jako nowość zanotować musimy nowe wyroby koronek we wszystkich kolorach odpowiednio do sukien i kapeluszy. Na jesień obiecują najwięcéj czarnych ozdobionych kwiatem, warkoczem lub sznurem złotym o fasonach nic, jeszcze wyrzec nie można.

Pomimo lata niezbyt sprzyjającego pogodą, suknie białe z materjałów wełnianych lub półjedwabnych bardzo są noszone; muślinowe zaś gładkie lub w rzucik zachowane wyłącznie do powozu, na letnie wieczory lub też do wód i kąpieli.

Uważano także u kąpieli morskich wiele kostiumów białych ozdobionych haftem wschodnim lub wyszyciem bretońskiem; do więcéj oryginalnych nale-

żą suknie ozdobione muszlami lub wyrobami ze słomki. Mówiąc o kostiumach do wód i do morza, trudno pominąć niewyczerpany talent krawiecki panny Marji Bataillon (ulica Chabannais N. 14). Z jéj pracowni ukazują się śliczne kostiumy krótkie, lub dotykające ziemi, wszystkie podług ostatniéj mody, a nie łączące żadnéj excentryczności. Każda suknia, każdy kostium tam robiony tchnie jakąś nowością połączoną zgustem. Panna Bataillon nadto wynalazła sposób oszczędny zastosowania jednéj i tejże saméj sukni do wyjścia na ulicę i do salonu. Sposób ten zasadza się na tem, iż wierzchnia krótka spódniczka przszyta jest do stanika, oprócz tego zaś przysposabia się dwa spody, jeden krótki sięgający tylko do ziemi; drugi powłóczysty do salonu. Stosownie do okoliczności jeden lub drugi może być przypięty na guziki i mocne pętelki ukryte pod obrębem wierzchniéj spódnicy.

Co do nowych materjałów na suknie nie widać jeszcze wyrobów jesiennych, letnie zaś jak noszono i przedtem: alpagi, fulary i wyroby półjedwabne.

OPIS RYCINY.

Figura 1. Suknia seledynowa z fularu Japońskiego, przybrana u dołu plisą i zębami. Plisa równie jak zęby objęte rulonikiem z białego fularu. Stanik pod szyję, na wierzch kaftaniczek koronkowy bez rękawów przyciśnięty zielonym paskiem. Z tyłu spada jeden koniec szarfy, bardzo szeroki, przybrany rulonikiem białym i frendzlą zieloną.

Ubranie drugie. Suknia linosowa szara. U dołu spódnicy pletnia z rulonów różowych fularowych. Po bokach kieszenie naszyte pletnią. Stanik pod szyję, oznaczony pletnią, w kwadrat. Powyżéj drabinka ze wstawek kluny, każdą wstawkę, dzieli w środku różowa kokarda. Rękawy przybrane wstawkami i kokardkami. Przepaska z pletni z tyłu szarfy. Kapelusik słomkowy okrągły, opasany pletnią; po bokach spadają długie końce.

Symbolika kwiatów i roślin ozdobnych.

(Dalszy ciąg.)

11. Goździk (Oeillet-giroflée, Dianthus Caryophyllus, piękny kwiat z mocnym przyjemnym zapachem, powszechnie hodowany po ogrodach w gruncie lub w doniczkach po mieszkaniach, z nader licznych odmianach pod względem pełności i barwy, jest symbolem przychylności i przywiązania.

Goździki dla wielu osób są przyjemniejsze nad wszelkie inne kwiaty i rzeczywiście, posiadają one wiele przymiotów w sobie, które rodzą szczególny do nich pociąg. Goździki te pochodzą z południowé Europy, lecz jest kilka gatunków krajowych, dziko rosnących goździków, które chociaż są mniejsze i dużo słabsze w zapachu lub nawet bezwonne, niemniéj zaliczają się do pięknych, ozdobnych roślin.

W Neapolu istnieje zwyczaj, że dziewczęta na wydaniu, rzucają w dzień św. Jana, kwiat goździka na ulicę, w tem przekonaniu, że mężczyzna, który go podniesie będzie ich mężem.

12. Granat (Grenadier, *Punica Granatum*). Chociaż kwiat z drzewa granatowego, jest dla nas jakby obcy, bo go widzieć można tylko po oranżerjach, gdzie duże drzewa hodują, mimo tego kwiat ten tak jest piękny, że godzien abyśmy tu coś o nim powiedzieli.

Pierwotną ojczyzną granatów jest Wschód, a głównie Palestyna; lecz już starożytni Rzymianie przyswoili to drzewo całéj południowéj Europie, gdzie się nawet teraz dziko trafia. Kwitnie w lecie, średniéj wielkości kwiatami, prześlicznéj gorąco-pąsowéj barwy, które zazwyczaj zwłaszcza w odmianach ogrodowych, są pełne. Kwiat taki do kruczych włosów młodéj kobiety, jest najstosowniejszy, i stanowić może prawdziwą ozdobę. W prawdzie jest on bez zapachu, ale budowa jego téj wielkości i podobieństwa, co duży goździk, i ognisty szkarłat, żywo przemawia za kwiatem granata.

Jako ułomek jabłka granatowego, tak jagody swoje, oprócz tego co się wewnątrz tai, mówi w Pieśniach nad pieśniami król mędrzec (Salamon). Jabłko więc granatowe czyli owoc granatu, jest symbolem piękności oblicza.

(d. c. n.)

KORRESPONDENCJA.

Pani Emili Turzań. w Niemirowie. Do prenumeraty brakuje kop. 50.

Pani Kotkow. w Kamieniu. Do książek dopłacono złp. 3 gr. 15.

Pani Lud. Śle. Od sprawunków zostało wRedakcyi złp. 4. gr. 23.

Pani Amelii Janow. Przegląd Katolicki na półroku kosztuje rs. 2. kop. 50 bez koperty, Koperta półrocznie rs. 1.

Pani Eleonorze Bro. Łokieć alpagi w rzucik kosztuje kop. 90 w gorszym gatunku kop. 75. Chustka z cienkiéj koronki *lama* 30 rs.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się rycina Paryzka kolorowana.

w Drukarni K. Kowalewskiego — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

(Dodatek.)

PAN DE CAMORS

POWIEŚĆ,

PRZEZ

OKTAWIUSZA FEUILLET

PRZEKŁAD

Joanny Belejowskiéj.

(Dalszy ciąg)

Nazajutrz rano pojechał zwiedzić obie swoje wioski. Przykre na nim zrobiły wrażenie chatki wieśniacze podobne do bud bobrów, tylko daleko mniéj wygodne; ale z drugiéj znów strony zdziwił się nie pomału, słysząc fermierów swoich rozmawiających swoim ludowem narzeczem o nowych udoskonalonych sposobach uprawy roli i chowu bydła, jak ludzie którym bynajmniéj nie są obce wszelkie odnoszące się do ich zajęć, wynalazki i udoskonalenia. Nazwisko p. Des Rameures często było powtarzane w ich rozmowach, na poparcie teorji i osobistych doświadczeń. P. Des Rameures takich wyłącznie używał pługów. P. Des Rameures wynalazł tę lub ową maszynę; staraniami swemi p. Des Rameures zaprowadził w kraju taką lub taką rassę bydła i koni, p. Des Rameures tak robił, p. Des Rameures tak radził, oni usłuchali i dobrze na tem wyszli. Zrozumiał teraz p. de Camors, że jenerał nie przesadził bynajmniéj, mówiąc mu o wielkich wpływach pana Des Rameures, poznał że jest to potęga z którą należy się rachować, i postanowił odwiedzić go niezwłocznie.

Wrócił do domu na śniadanie, poczem znowu wyszedł przed dom i jak wczoraj wsparty o balustradę, z cygarem w ustach zaczął znowu rozglądać się w okolicy. Było samo południe, a otaczająca go cisza i samotność, wydała mu się nie wiele mniéj straszną jak poprzedniéj nocy. Prócz gdakania kur, rojenia się pszczół i słabego gdzieś zdala dochodzącego odgłosu dzwonów, p. de Camors nie słyszał nic więcéj. I myślał o swoim klubie, o gwarze i zgiełku, turkocie powozów, o afiszach teatralnych, o małych kioskach w których sprzedają dzienniki, o zapachu z rozgrzanego asfaltu, i wszystko to przedstawiało się w téj chwili jego wyobraźni, jak niewymowne rozkosze. Mieszkańcy Paryża, i wszystkich w ogóle wielkich miast, mają jedną wielką korzyść, którą dopiero gdy im jéj zbraknie należycie ocenić umieją, to jest: że bez żadnego współudziału z ich strony, większa połowa ich życia jest zapełnioną i zajętą. Potężna, nieustannie otaczająca ich żywotność, stokroć więcéj niż przypuszczają zwalnia ich od osobistych starań o swe umysłowe potrzeby. Już sama wrzawa materjalna tworząca w około nich jakiś rodzaj jednostajnéj nuty, może w potrzebie zapełnić przerwy ich myśli, i bronić od przykrego poczucia próżni. Nie ma może jednego Paryżanina, który nie raczy sądzić, że sam jest sprawcą wszelkiego ruchu i gwaru jaki go otacza; że napisał wszystkie książki które czyta, zredagował gazety i pisma, któremi delektuje się przy śniadaniu, ułożył wszelkie sztuki teatralne osładzające mu długie godziny wieczoru, wymyślił wszystkie powtarzane dowcipy; ale pochlebne to złudzenie rozwieje się natychmiast skoro los lub wypadek rzuci go choćby o kilka tylko kilometrów od wielkiego grodu. Podobna próba wystawia go na rzecz niepojętą mu dotąd: nudzi się śmiertelnie. I może wtedy w głębi jego, upadłéj, zgnębionéj duszy, powstanie chwilkę myśl że jest słabem, śmiertelnem stworzeniem.... ale nie, wraca do Paryża, ociera się tam znowu o zbiorową elektryczność, nabiera siły, jest czynny, zajęty, dowcipny, i przekonywa się z zupełnem zadowolnieniem że nie przestał być istotą wybraną — wprawdzie poniżoną chwilowo przez zetknięcie się z istotami niższemi, zamieszkującemi wsie i prowincje.

Pan de Camors miał w sobie więcéj niż ktokolwiek inny, środków do pokonania nudów, jednak w tych pierwszych chwilach prowincyonalnego życia, pozbawiony swoich stosunków, koni, książek, upodobań i nawyknień, musiał czuć i uczuwał też dotkliwie przygniatający go ciężar czasu. To też wypowiedzianie miłego doznał wrażenia, posłyszawszy nagle tentent, w którym wprawne jego ucho rozpoznało zbliżanie się kosztownych rassowych koni. Jakoż spojrzawszy w ciemny wiązowy szpaler, ujrzał dwie damy jadące konno i zmierzające prosto do skromnego jego pałacyku, nieco za niemi jechał służący. Ucieszony, lecz zarazem zdziwiony nad wszelki wyraz, p. de Camors powodowany wytworną swą i elegancką grzecznością wielkiego pana, już miał zejść ze schodów prowadzących na taras, gdy w tem obie damy go postrzegły, i więcéj jeszcze może niż on zostały zdziwione, zatrzymały nagle konie, jakby naradzając się chwilkę, i po krótkim namyśle przejechały pod tarasem i zniknęły w kierunku owego małego stawu, podobnego do Acheronu. P. de Camors ukłonił im się grzecznie gdy przejeżdżały koło tarasu, odpowiedziały lekkiem skinieniem głowy. Pomimo welonów powiewających u kapeluszy, hrabia był przekonany że jest to wczorajsza młodziuchna fortepianistka i piękna śpiewaczka z czarnemi oczami.

Po niejakimś czasie zawołał starego dozorcy pałacu. Panie Leonardzie, rzekł, powiedz mi czy mój dziedziniec stanowi trakt publiczny?

— Cóż znowu!... skądże znów dziedziniec pana hrabiego miałby być publicznym gościńcem?

— Cóż więc tu robiły owe dwie damy co przejechały przed chwilą?

— Mój Boże!.. oto widzi pan hrabia, Reuilly już od tak dawna było nie zamieszkane..... więc te panie nie widziały nic w tem złego, żeby sobie spacerować w lasku pana hrabiego.... czasami nawet wstępowały do pałacu.... i żona moja częstowała je mlekiem. Ale powiem im że pan hrabia tego nie lubi....

— Cóż znowu... panie Leonardzie.... skądże uroiło ci się w głowie że ja tego nie lubię. Ja się tylko pytam.... kto są te panie?...

— O! prawdziwe damy, panie hrabio. Pani de Tècle, i jéj córka, panna Marja....

— A pan de Técle, mąż téj pani — czy także spaceruje tu kiedy?

— A, mój Boże! — cóż znowu, panie hrabio, — nie pokazał się tu ani razu. Biedak, dawno już przestał chodzić po świecie, rzekł z przebiegłym uśmiechem — pan hrabia wie dobrze że już dawno umarł.

— Przypuśćmy że wiem — panie Leonardzie — tylko proszę pamiętaj o tem, że nie chcę bynajmniéj sprzeciwiać się ich przechadzkom w moim lasku.

Pan Leonard bardzo był zadowolniony z tego polecenia, a hrabia zastanowiwszy się, że według wszelkiego prawdopodobieństwa będzie musiał dość długo zabawić w Reuilly, wrócił do pałacu, obejrzał wszystkie pokoje, i porozumiawszy się ze starym nadzorcą, ułożył plan niezbędnéj restauracji. O dwie mile od Reuilly leżało miasteczko L.. w którem można było zdobyć potrzebnych środków, postanowiono więc że tego jeszcze dnia Leonard pojedzie tam umówić się z budowniczym.

Hrabia de Camors postanowił tegoż dnia odwiedzić pana Des Rameures, o którego zamieszkaniu dowiedział się nareszcie. Udał się tąż samą drogą co wczoraj, minął budynek podobny nieco do klasztoru, w którym mieszkała pani de Técle, przypatrzył się dębowi który służył mu wczoraj za schronienie i obserwatorjum, i ćwierć mili daléj zobaczył budynek z wieżycami do którego dążył. Można go było porównać z owymi urojonymi zamkami, o których czytelnicy nasi marzyli niejednokrotnie w szczęśliwych latach dziecinnych, ilekroć czytali na rycinach te ponętne słowa: *Pałac pana de Valmont leżał w prześlicznem położeniu, na wierzchołku rozkosznego pagórka.*“ W około roztaczała się piękna perspektywa pochyłych łąk, błyszczących szmaragdową zielenią; pięknych trawników przystrojonych kępami drzew i krzewów; kwater kwiatowych zdobnych bogatemi wazonami i urnami; ładnych białych mostków rzuconych nad strumieniem; krówek i baranów tu i owdzie pojawiających się w cieniu, z tak świecącą siercią i tak białą i puszatą wełną, że mogłyby figurować w jakiéj operze komicznéj.

Przeszedłszy kratę żelazną, p. de Camors zawrócił na ścieszkę wijącą się wśród krzewów i kwiatów, i zbliżył się do dworu. Stary sługa spał na ławce przed domem, uśmiechając się we śnie do tylu pięknych otaczających go rzeczy. Pan de Camors obudził go i zapytał o pana domu. Służący zerwał się, otworzył drzwi do przedpokoju przystrojonego w jelenie rogi i wprowadził Camors'a do ładnego saloniku, w którym zastał młodą damę, w krótkiéj spódniczce i okrągłym kapeluszu, układającą kwiaty w pięknych chińskich wazonach. Odwróciła głowę gdy wszedł do sali... i znowu ujrzał p. de Tècle.

P. de Camors ukłonił się z uszanowaniem, lecz cała jego postawa wyrażała zdziwienie i niepewność, ona zaś śmiało i spokojnie wlepiła w niego swe wielkie oczy. Przepraszam panią, rzekł z pewnem wahaniem, chciałem widzieć się z p. Des Rameures.

— Jest w polu — ale nadejdzie niezadługo — może pan raczysz zaczekać.

— I usiadła wskazując mu krzesło, odpychając śliczną nóżką porozrzucane po ziemi gałęzie kwiatów.

— Daruj pani że śmiem ją zapytać, rzekł siadając p. de Camors, czy w nieobecności pana Des Rameurs, nie mógłbym mieć zaszczytu przedstawienia się jego siostrzenicy?

Przelotny uśmiech przeleciał po ślicznéj, poważnéj twarzy p. de Tècle. Ja właśnie jestem jego siostrzenicą odpowiedziała.

— Ach! — stokrotnie przepraszam panią... ale powiedziano mi... zdawało mi się... byłem przekonany że siostrzenica p. Des Rameures jest osoba w pewnym wieku... i już chciał dodać bardzo szanowna, ale zatrzymał się i dodał tylko: teraz widzę żem się mylił.

Grzeczność ta wyraźnie żadnego na pani de Tècle nie zrobiła wrażenia. Czy mogę wiedzieć kogo mam zaszczyt przyjmować?

— Jestem de Camors.

— Ach!.. w takim razie powinnam pana przeprosić. Dziś rano, ja i moja córka — byłyśmy trochę nieuważne — nie wiedząc o przyjeździe pana, skierowałyśmy przejażdżkę naszą do Reuilly — ale posiadłość ta od tak dawna była opuszczoną...

— Śmiem pochlebiać sobie, że obecność moja nie przeszkodzi zwykłym pań przejażdżkom.

— Pani de Tècle skinęła lekko głową na znak podziękowania, ale widać było zarazem że nie będzie korzystać z zaproszenia. Nastała chwila milczenia. p. de Camors nieco zakłopotany nie wiedział co mówić; rzucił przypadkiem oczy na fortepian, i przyszła mu do głowy myśl oryginalna, już, już miał powiedzieć: Pani bardzo lubisz śpiew i muzykę — ale przypomniał sobie swój pobyt na drzewie i zamilkł bojąc się zdradzić.

— Pan przyjeżdzasz z Paryża? — rzekła nareszcie pani de Tècle!

— Nie pani, bawiłem kilka tygodni u jenerała de Campralion, który, o ile wiem, ma zaszczyt być przyjacielem pani, i on to ośmielił mnie ażebym się jéj przedstawił.

— Bardzo jesteśmy mu wdzięczni. Cóż to za zacny człowiek.

— O tak!

— Znowu chwila milczenia. Jeśli nie lękasz się pan przechadzki po słońcu, może poszlibyśmy naprzeciw mego wuja... spotkamy go niezawodnie — rzekła pani de Tècle.

P. de Camors ukłonił się. Pani de Tècle wstała, i zadzwoniła, wszedł służący: Poproś panny Marji, niech włoży kapelusz i przyjdzie zaraz.

Panna de Tècle przyszła niebawem, rzuciła na nieznajomego śmiałe spojrzenie ciekawego dziecka, ukłoniła mu się lekko, i wszyscy razem przez wielkie oszklone drzwi wyszli do parku. I z téj także strony pałacu przedstawiał się oczom widok niezliczonych wzgórz i dolin pokrytych zielenią, gaików i łąk, pięknych białych mostków, świecących krówek i baranków z białą fryzowaną wełną. Camors wychwalał wszystkie te piękności, pani de Tècle odpowiadała grzecznie, i szła naprzód prędkim i lekkim krokiem, a maleńkie jéj buciki pozostawiały

lekkie ślady odbite na piasku, którym ścieszki były wysypane. Chód jéj i ruchy tchnęły niewypowiedzianym wdziękiem i elegancją, a jednak znać było że żadna zalotność nie ma tu miejsca, że cały ten powab jest jéj wrodzonym i zupełnie naturalnym.

Gdy stanęli przy murze otaczającym park z téj strony, otworzyła drzwiczki i weszli na wązką bardzo ścieszkę, wijącą się wśród łanów dojrzałego zboża, p. de Tècle szła przodem, za nią córka, a p. de Camors ostatni. Dotąd panna Marja szła bardzo poważnie, ale patrząc na te piękne jakby złocone kłosy, ubarwione białemi polnemi astrami, ponsowym makiem i błękitnym bławatkiem, i słuchając rozkosznego koncertu, w jakim myriady różnorodnych białych, zielonych, żółtych, i morderowych owadów, opiewały wszystkie te piękności, zawróciła jéj się główka, i zaczęła zapominać o swojéj powadze. Zatrzymywała się co chwila zrywając maki i bławatki, wprawdzie za każdą razą zwracała się do Camors'a, przepraszając grzecznie, jednak matka widząc to nie bardzo była zadowolniona, i powiedziała pare razy: Maryniu! co robisz?. Dziewczynka chwilkę przestawała się zatrzymywać, ale niezadługo nowa jakaś nastręczała się pokusa, i tak teraz, naprzykład, zbliżyli się do rosnącéj wśród zboża jabłonki, któréj jedna gałęź pochylała się ku drodze, jakby pokazując maleńkie, zupełnie zielone jabłuszko. To już było nad siły panny Marji: Przepraszam pana, rzekła znowu, i chciała przejść wśród zboża, aby dostać się do jabłonki i zerwać jabłko, ale sprzeciwiła się temu matka:

— Co robisz, Maryniu, zawołała żywo, jakże można wchodzić w zboże.

— Dziewczynka wróciła zaraz na ścieszkę, ale nie mogąc się oprzeć szalonéj chętce, spojrzała błagalnie na p. de Camors i rzekła pokazując mu jabłuszko: Bądź pan łaskaw zurwać mi go.... takby pięknie wyglądało w moim bukiecie....

P. de Camors pochylił się nieco, zerwał upragnione jabłuszko wraz z gałązką i z uśmiechem podał dziewczynce.

O! dziękuję panu, zawołała, i umieściwszy gałązkę wśrodku bukietu, założyła go za wstążkę opasującą kapelusz i szła sobie dumnie z zadowolnioną miną.

Gdy zbliżyli się do barjery zamykającéj pole, p. de Tècle odwróciła się nagle, i rzekła: Oto mój wuj, panie.

P. de Camors podniósł głowę, i z drugiéj strony barjery postrzegł starca wyniosłéj postawy, patrzącego na nich i ręką osłaniającego oczy przed blaskiem słonecznym. Miał na nogach wielkie skurzane kamasze, ze stalowemi sprzączkami, jakieś szerokie ubranie z ciemnego axamitu i okrągły słomiany kapelusz. Po długich białych włosach i gęstych brwiach czarnych, poznał w nim starego pana grającego na skrzypcach.

— Wuju, rzekła znów pani de Tècle, wskazując mu młodego hrabiego, pan de Camors.

— Pan de Camors! powtórzył starzec silnym i pełnym głosem; witam pana!

Otworzył barjerę, i podając młodzieńcowi dużą, ogorzałą rękę, rzekł:

— Znałem dobrze matkę pana, z prawdziwą więc przyjemnością witam cię w moich progach. O! jakże to miła i zacna była kobieta! i doprawdy warta... chciał dodać „lepszego losu" ale zatrzymał się, zawachał, nie dokończył myśli i tylko chrząknął głośno, i krząknięcie to odbiło się w szerokiéj jego piersi, jak pod sklepieniem kościoła.

Wziął podany sobie przez Camors'a list od jenerała de Campralloo, rozłożył i zbliżywszy się pod pobliski płot, rzucający nieco cieniu, zaczął go czytać trzymając zdala od oczu. Jenerał umówił się z młodym hrabią, że byłoby nie dyplomatycznie zawiadomiać od razu pana Des Rameures, czego po nim wymagają; tak więc tenże nie wyczytał w liście nic prócz bardzo pochlebnéj dla p. de Camors rekomendacji, i dopiero, u dołu, w *post-scriptum* wiadomość o małżeństwie jenerała.

— Tam do kata! zawołał; wiesz Elizo, Camprallon się żeni! Wszelkie wiadomości o ślubach i małżeństwach, mają z dawna przywiléj żywo pobudzać ciekawość kobiet. Pani de Tècle prędko przysunęła się do wuja, nawet panna Marja podniosła główkę.

— Co, mój wuju, jenerał się żeni!.. Jestżeś tego pewny?..

— Ma się rozumieć, skoro sam donosi mi o tem. Panie de Camors, czy znasz pan jego narzeczoną?

— Tak panie, — panna de Luc d'Estrelles jest moją krewną.

— Aha! odpowiedział. Sądzę, że zapewnie jest to osoba. . w pewnym wieku?

— Ma lat dwadzieścia — pięć.

— Jest bardzo piękna.

— Hum! . bardzo to dobrze, panie!.. tylko... tylko zdaje mi się że... jenerał trochę za stary dla niéj. No... ależ każdy najlepiéj zna siebie... to już jego rzecz... Hum... i zwracając się do siostrzenicy, rzekł: Jeśli chcesz Elizo, możemy wracać do domu. Najmocniéj przepraszam cię, panie hrabio, za moją wiejską toaletę... ależ jestem sobie rolnik... *agricola!* prosty ekonom i pasterz mojéj trzody, *custos gregis!* jak mówi poeta. Proszę, racz pan iść przodem... Marjo nie depcz mego zboża, kochanie. Panie hrabio, czy możemy mieć nadzieję, żeś powziął szczęśliwą myśl porzucić wielki Babilon i osiąść wśród nas na wsi w twojéj majętności?.. Ach! panie, jakżeby to był dobry! jak piękny przykład!.. bo niestety! dziś więcéj jak kiedy, można zawołać z poetą:

Non ullus aratro
Dignus homes; squalent abductis arva colonis,
Et... et...

et.. et... doprawdy, zapomniałem reszty!.. biedna pamięć moja!.. O wiesz pan co, nie starzéj się nigdy!

— *E carvae rigidum falces conflantur in eusem!* dodał p. de Camors, kończąc przerwaną cytację.

— Jakto! pan cytujesz Wirgiliusza!.. znasz mistrzów starożytnych!.. bardzo, bardzo mnie to cieszy! O! zazwyczaj nowe pokolenie nie dopuszcza się tego błędu. Głupcy i nieucy rozpuścili, że dobry ton nie dozwala cytować klassyków — niedołęgi! Nasi ojcowie cytowali ich chętnie, bo ich znali wybornie. Co do mnie Wirgiliusz jest ulubionym moim poetą.. choć nie zupełnie zgadzam się na jego sposób uprawy, a pod tym względem, mimo całego uwielbienia,

mógłbym mu wiele zarzucić — ale pomimo tego boski to wieszcz. No, panie hrabio, widzisz moją małą posiadłość, *mea paupera regna!*.. schronienie mędrca! Żyję tu szczęśliwy jak patryarcha, jak stary pasterz złotego wieku, kochany od sąsiadów, co nie jest rzeczą zbyt łatwą — i wielbiący bogów, co może jeszcze trudniéj. Tak, tak panie, a ponieważ także lubisz Wirgiliusza, pozwól mi przytoczyć jeszcze — to co wyraźnie dla mnie napisał:

Fortunate senex, hic inter flamina nota
Et fontes sacros frigas captabis opacum!

I jeszcze, panie de Camors:

Fortunatus et ille Deos qui novit agrestes,
Panaque, Silvanumque senem!..

— *Nymphasque sorores!* rzekł Camors z uśmiechem, wskazując lekko głową panią de Tècle, i jéj córkę.

— Wybornie!. doskonale zastosowane!. najczystsza prawda.. wołał wesoło p. Des Rameures. Czy słyszałaś, Elizo, zawołał.

— Tak, mój wuju.

— A czy zrozumiałaś?

— Nie, mój wuju.

Starzec zaczął śmiać się całem sercem: O! siostrzeniczko, nie wierzę ci, nie. I pan nie wierz, hrabio, kobiety doskonale umieją zrozumieć grzeczność, w jakim nie bądź wypowiedzianą języku.

Tak rozmawiając doszli do pałacu, dla nacieszenia się pięknym widokiem usiedli na ławeczce przed drzwiami salonu. P. de Camors chwalił zręczne rozłożenie i piękne utrzymanie parku, zaproszono go na obiad na przyszły tydzień, i pożegnał się pochlebiając sobie, że jak na początek dość dobrze mu poszło z p. Des Rameures, ale i ubolewając zarazem, iż o ile mu się zdawało, żadnego na śliczném jego siostrzenicy nie zrobił wrażenia.

Tymczasem mylił się bardzo. Młody ten człowiek, rzekł p. Des Rameures, po jego odejściu do swéj siostrzenicy, zna widać starych klassyków, a to wiele znaczy, ale strasznie podobny do swego ojca, ktory był zepsuty i skażony jak grzech śmiertelny. W prawdzie wyrazem oczu i uśmiechem przypomina nieco swoją zachwycającą matkę..... ale w ogóle, moja Elizo, jest to żywy portret swego nieznośnego ojca, którego, jak mówią, przejął zasady i obyczaje.

— Któż to mówi, mój wuju.

— Głos publiczny, moja droga.

— E, mój wuju, głos publiczny często się myli, a zawsze przesadza. Mnie się zdaje, owszem, że pan de Camors jest bardzo rozsądny, wytwornie grzeczny, ukształcony, a całe zachowanie jakąś niewysłowioną nacechowane wyższością.

— Masz tobie.... a to wszystko dla tego że ukochaną moją siostrzenicę porównał do nimf bajecznych.

— Jeśli, mówiąc po łacinie przyrównał mnie do nimf bajecznych, to źle zrobił — ale za to po francuzku nie powiedział ani jednego słowa, któreby mi się nie podobać mogło. Nie potępiajmy go więc, dopókąd sami nie poznamy dostatecznie, czy zgoda wujaszku?. Wszak to zasada jaką mi zawsze wpajałeś, nie prawdaż?....

— No, nie zaprzeczysz mi przecie, kochana Elizo, rzekł starzec nieco kwaśno, że młodzieniec ten jest najdoskonalszym typem tych nieznośnych, nienawistnych mi Paryżanów. Zanadto grzeczny, zanadto spokojny, trzymający nieustannie na wodzy każdy ruch, każde wejrzenie, zimny jak lód. Ani cienia zapału, uniesienia! śmieje się półgębkiem.... słowem żadnéj cechy młodości! Lubię aby ludzie byli zgodni z swoim wiekiem.... młody człowiek powinien być wesoły i śmiać się całem sercem!...

Ależ mój wuju, jakże ma być wesoły i śmiać się całem sercem, kiedy nie dawno temu ojciec jego skończył tak tragiczną śmiercią, straciwszy mu wprzód, jak mówią, cały majątek.

No! no! niech i tak będzie.... zawsze masz słuszność.... zrzekam się więc moich uprzedzeń względem tego młodzieńca. Jeśli jest na w pół zrujnowany, chętnie użyczę mu dobrych rad.... i... i pieniędzy... jeśli będzie potrzeba.... wszystko dla pamięci jego matki do któréj jesteś podobna, mówiąc nawiasem, kochana moja Elizo. Otóż to jak kończą się wszystkie nasze sprzeczki, moja ty despotko. Ja krzyczę.... zapalam się.... unoszę jak Tatar... ty przemówisz łagodnie, z twoją anielską dobrocią i zdrowym rozsądkiem, i tygrys zmienia się w potulnego baranka. I kto tylko cię pozna i zbliży się do ciebie, już przepadł, nieszczęsny! bo zaraz oczarujesz go swoim urokiem. I dla tego to mój stary La Fontaine powiedział o tobie:

Na różnych kwiatach pszczółka odpoczywa,
I ze wszystkich miód wydobywa.

V.

Eliza de Tècle miała wdedy koło lat trzydziestu, ale wyglądała daleko młodziéj, w szesnastym roku życia, w szczególnych okolicznościach, poślubiła kuzyna swego, Rolanda de Tècle.

Panna de Tècle w dziecinnym wieku straciła rodziców, p. Des Rameures, brat jéj matki zajął się wychowaniem sieroty. Młody Roland mieszkał w pobliżu przy ojcu. Wszystko ich zbliżało: życzenia rodziny, położenie majątkowe, stosunki sąsiedzkie, zgodność charakterów, skłonności i upodobania; oboje byli piękni i powabni nad wszelki wyraz. Życzenia rodziców od lat dziecinnych przeznaczyły ich sobie. Gdy Eliza skończyła lat piętnaście, hrabia de Tècle zaczął zwolna czynić przygotowania do ślubu syna, i w tym celu kazał niemal przebudować z gruntu jedno skrzydło pałacu, które młodym małżonkom przeznaczył na mieszkanie. Roland z gorliwością zakochanego, sam doglądał robotników, przyśpieszając ich prace.

(d. c. n.)



Compte Calix

Imp. Moine et Falconer r. St Louis en l'Ile 90 Paris

TYGODNIK MÓD

w Warszawie